

MIROŚLAW KACZAN

ur. 1950; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Świdnik, PRL
Słowa kluczowe	Świdnik, PRL, strajk, Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego, organizacja strajku, wiece, śpiewy, rozmowy z przedstawicielami władzy, delegacje wydziałowe, przebieg strajku, Zofia Bartkiewicz, Jan Czogała, dyrektor WSK Świdnik, komitet strajkowy, postulaty, służby porządkowe

Przebieg i organizacja strajku w WSK w Świdniku

[Początkowo] nie było żadnych jeszcze spisanych postulatów. W pierwszym dniu nie przyłączyła się do nas administracja. Cały biurowiec, wszystkie te działy administracji nie strajkowały. Przyglądały się tylko przez okna, bo myśmy wyszli przed halę naprzeciw biurowca, to im nie pozwolono nawet do okien podchodzić, kierownicy tych działów nie pozwolili podchodzić do okien. Tak że administracja dopiero się dołączyła na drugi dzień, więc tych jako takich postulatów nie było. Czekaliśmy na przedstawiciela z Warszawy, no i przyjechał minister Kopeć, Minister Przemysłu Maszynowego.

Poszliśmy [do pracy] na siódmą, bo cykl zmian był tygodniowy, tydzień się miało pierwszą zmianę, tydzień drugą. Ja pracowałem w systemie dwuzmianowym, pierwsza i druga zmiana. No i przyjechał ten minister i zaczął z nami rozmawiać. Wysłuchał naszych argumentów, no i on też sam decyzji podjąć nie może. Wchodził na halę z tą świtą swoją tych sekretarzy zakładowych i z dyrekcji, próbował pracowników namawiać, żeby podjęli pracę, żeby włączyli maszyny. Nawet tam gdzieś próbowali włączać, ale prąd był wyłączony na całej hali, tak że nikt nie miał możliwości włączyć maszyny. Gdzieś tam zaczęli rzucać w blachy pracownicy, taki huk robili, żeby ich przestraszyć, gdzieś któryś rzucił, bo to przecież wszystko ze stali: maszyny, obrabiarki, magazynki różnego rodzaju, odgrodzenia, to wszystko, siatka, blacha, tak że każde stuknięcie, puknięcie w cichej dużej hali [dawało] odgłos taki, [który] rozchodził się na całą halę. No i widział minister, że nic nie wskóra. Wycofał się, pojedzie do Warszawy i będzie rozmawiał, bo on sam nie może podjąć decyzji. No i strajkowaliśmy dalej.

No i w między czasie były takie jeszcze przeprowadzane dyskusje, rozmowy, spotkania. Delegacje wydziałowe rozmawiały z dyrekcją, wtedy już wybrano takich kolegów z większym stażem pracy. Kiedy była wybierana delegacja, wybierano

chłopów takich, żeby tamta strona bała się trochę, że przyszli na rozmowę chlopi, którzy się nie ugną. Jeszcze takiego komitetu nie było początkowo, można powiedzieć, że się organizował komitet z tymi przedstawicielami wydziałowymi. Tam poszli koledzy tacy masywnie zbudowani, tacy byli wybierani, chociażby na moim wydziale to tak się właśnie działo. I z większym stażem pracy. Ja na tym wydziale pracowałem bardzo krótko, to był mój szósty rok pracy dopiero, tam byli ludzie, którzy kilkanaście lat pracowali, więc już stawiano na takich ludzi z większym stażem pracy. No i stworzył się taki komitet, który rozmawiał z tymi przedstawicielami dyrekcji zakładowej, złożonymi z tych sekretarzy, związkowców, przedstawicieli związków Rady Pracowniczej. Te dyskusje trwały, ale do niczego nie doprowadzały, czekano, co odpowie na to wszystko Warszawa. Co odpowie rząd, ministerstwo, jakie decyzje podejmie. To się wszystko tak przedłużało.

W tym czasie wiece się odbywały przed halą, przed biurowcem śpiewano pieśni patriotyczne, religijne. Transparentów nie było, ale były modlitwy, pieśni takie budujące. [Administracja] doszła do wniosku, że to jest już tak silnie zbudowane, że to nie jest jakiś wybryk chwilowy taki i przyłączyła się w drugim dniu. Właśnie wtedy wyszła Zofia Bartkiewicz już tam. Ona była wtedy taką kobietą, jak to można by powiedzieć, wygadana, bo była radną miasta, no i należała do partii, więc na tych wszystkich zebraniach miała możliwość jak gdyby wygadania się, była taka otwarta bardziej na zabieranie głosu. No i ona wyszła i zaczęła mówić, że są z nami, że nie będą dzielić na robociarzy i pracowników umysłowych, że też się nie zgadzają z tym wszystkim. Tak to trwało, ta jej perswazja podtrzymywała ten strajk, żeby on nie zakończył się jakimś takim fiaskiem, niepowodzeniem, żeby dojść do podpisania jakichś porozumień. Głos Zofii Bartkiewicz był takim głosem najmocniejszym w tym wszystkim. Tak, pani Zofii ze względu na to, że była radną miasta, brała udział w tych zebraniach, było najłatwiej przemawiać do ludzi. Jeszcze Puczek przemawiał. Tam wielu zabierało głos, ale tym takim głosem zespalającym i dążącym do porozumienia był głos Zofii Bartkiewicz. Dyrektor WSK też przemawiał. Dyrektor zachowywał się tak powściągliwie. On nie mógł się wychylić w stronę naszą, tak jak po wprowadzeniu stanu wojennego tu uczynił, stanął po naszej stronie, no bo wiadomo, że jego rekomendacja była z Warszawy. Tym bardziej, że on był wojskowym, jego jeszcze rygory wojskowe obowiązywały. To był podpułkownik Wojska Polskiego, więc nad nim wisiła władza jak gdyby podwójna – i ta cywilna, i ta wojskowa, więc on nie mógł powiedzieć do nas: „Tak, macie rację, strajkujcie”, czy coś. On tego uczynić nie mógł, bo wiadomo, co by się z nim stało. Co myślał na ten temat, to pozostało w nim pewno. Władza nie chciała, kiedy już rozmawiała [z pracownikami] i dochodziło do spisania jakichś postulatów, do podpisania jakiegoś porozumienia, nazwać tego strajkiem, [komitet przedstawicieli pracowników miał] obrać nazwę „komitetu postojowego”. Nie zgodzili się [na określenie „komitet strajkowy”]. No wtedy już się ukształtował ten komitet porozumiewawczy, to przystali na to. To był czwarty dzień strajku. Były postulaty spisane, tam wchodziły sprawy socjalne – podwyżki płac, niewyciąganie

żadnych konsekwencji w stosunku do strajkujących, zaopatrzenie lepsze miasta w artykuły spożywcze, przemysłowe, przeszerogowania w grupy, bo to były wtedy w grupy zaszeregowania, od tego zależały płace. Takie sprawy płacowe, bytowe, w tym kontekście było to wszystko układane. Te postulaty to już [spisywał] komitet międzywydziałowy. Kto dokładnie redagował i spisywał, to nie powiem, nie wiem, kto tam właśnie tym się zajmował. To trzeba by spytać kogoś, kto był w tym komitecie, może on pamięta, chociaż to już jest kupę lat.

W komitecie takim ścisłym, do podpisania porozumień, to było bodajże tylko cztery osoby. Zofia Bartkiewicz, Roman Olcha, Zygmunt Karwowski i jeszcze ktoś, nie pamiętam już dzisiaj dokładnie. A ten pierwszy komitet, który obradował, był dosyć obszerny, to były delegacje ze wszystkich tam wydziałów. Z mojego wydziału przedstawicielem w tym komitecie był Wiesio Bielak.

Wtedy jeszcze biuletynów nie było, a ulotki to się pokazywały, ulotki były, takie nieduże, drukowane, o utrzymanie strajku. To było gdzieś tak na trzeci, czwarty dzień.

Później już to były takie jak gdyby patrole, służby porządkowe, które na bramie sprawdzały, kto wchodzi, kto wychodzi. Nikt nie mógł wyjść [w czasie pracy], tylko już naprawdę w [razie] konieczności, bo coś tam się działo czy w rodzinie, czy musiał gdzieś tam wyjechać, czy gdzieś coś musiał [załatwić]. W ważnych przypadkach tylko mogli ludzie wychodzić. To już tak zorganizowane było dobrze na drugi dzień, bo my żeśmy kończyli strajk [pierwszego dnia] po tych wszystkich rozmowach, spotkaniach z dyrekcją, to była godzina trzynasta, czternasta, nie było czasu na takie zorganizowanie, to było gdzieś w drugim dniu zorganizowane, że właśnie na bramie już byli przedstawiciele pracowników obok wartowników, którzy pilnowali zakładu i kontrolowali, kto wchodzi, a kto wychodzi na co dzień. Już były takie służby złożone z pracowników, którzy też pilnowali, żeby nikt nie wszedł [niepowołany], żeby nie było jakichś prowokacji. Ktoś wchodził, to musiał mieć przepustkę, nikt na zakład nie wszedł, jak nie miał dokumentu upoważniającego do wejścia. Wartownicy nie strajkowali, musieli pełnić służbę na wejściu do zakładu. Nikt nie mógł sobie tak [bez powodu wyjść], że może: „Aha, to ja sobie pójdę do domu, no bo po co mam tu brać udział w tym wszystkim. Niech inni załatwią sprawę”. Nie, ktoś, ktoś kto musiał wyjść, musiał mieć kartę służbową i nie mógł sobie tak wychodzić i wchodzić na zakład. Były kontrolowane te wyjścia i wejścia, po prostu. Jak już wszedłeś, to bierzesz udział w strajku, a ja jak wchodzi ktoś nowy, no to kto wchodzi, po co wchodzi. Na przykład wartownik mógł puścić kogoś, jakiś tam z zewnątrz dziennikarz [przyszedł] czy nasłany jakiś tam agent ubecji czy esbecji, który nie ma dokumentu. Wartownikowi mógł przedstawić jakiś tam papier, ten mógł go wpuścić, więc pracownicy mieli nad tym kontrolę, kto wchodzi. Dokument z dowodem tożsamości [był wymagany], była taka służba kontrolująca.

To był taki strajk, który nie był strajkiem okupacyjnym, takim, że nie chodziliśmy do domu, nie. My, kończąc zmianę, szliśmy do domu. Przychodziła druga zmiana i strajk

był kontynuowany. Był naprawdę niespotykany na tamte czasy [pod względem] organizacyjnym ten strajk, ludzie się zmieniali i strajk trwał dalej. Ja z kolegą rozpoczęliśmy strajk, namawialiśmy innych ludzi, [ale] nie byliśmy przywódcami strajkowymi. Nie było przywództwa jakiegoś strajkowego, że [od początku] jest komitet strajkowy, jest ktoś, kto przewodzi i oni podejmują decyzję, nie. Ten komitet porozumiewawczy, który podpisywał postulaty, jakieśmy złożyli, założył się już na koniec strajku. [Wcześniej] wszyscy ludzie, można powiedzieć, byli jego przywódcami. Wszyscy przychodzili: „Tak, strajkujemy dalej”, tam ktoś chodził na rozmowy, tak, byli delegaci z wydziałów, ale oni nie byli przywódcami strajku, oni tylko reprezentowali załogę swoją, w jej imieniu chodzili.

Ja sobie nie przypominam przedstawicieli prasy, żeby ktoś chodził i żądał jakiegoś udzielenia wywiadu czy oceniania tego, co się dzieje. Wtedy pewno by nie został wpuszczony, mnie się zdaje, przez te służby porządkowe, które pełniły służbę na wejściu do zakładu. Tak że z prasy ja sobie nie przypominam nikogo.

[Z kolejnym dniem strajku] zmieniało się tyle, że ludzie byli bardziej przekonani do słuszności tego strajku. No bo wybuch ten spontaniczny, później może taki moment zastanowienia się nad tym, co z tego wszystkiego będzie, a później to już mi się wydaje, że wszyscy się tak już utrwaliли w tym, że to jest słuszna sprawa, że trzeba trwać w tym, aż będzie jakieś rozwiązanie konkretne, aż przyjdą jakieś odpowiednie, zadowalające nas decyzje. Już nam nie chodziło o zmianę tych cen, to już było nieważne dla nas. Już po tej rozmowie [z władzami] doszło do świadomości ludzkiej, że cena kotleta jest mało ważna, są sprawy dużo ważniejsze, sprawy bytowe, to wszystko, mówię ogólnie o tym, co człowiek powinien posiadać – i odpowiedni zarobek, i odpowiednie zamieszkanie, i [możliwość zaspokojenia potrzeb żywnościowych i przemysłowych. To było już tak wszystko brane ogólnie, że wszystko jest nie tak, jak powinno być, że jest miernota i biedota, i nic więcej.

[Jak nie pracowaliśmy, to] w kartyśmy grali, przeważnie to w karty grali, no to różne były gry – Poker, Tysiąc, Oczko. No i trzeba było mieć wzgląd na to, co się dzieje, nie można było tylko gdzieś tam wejść w dziurę i czekać końca zmiany, i grać w karty, tylko te wiecie co jakiś czas się odbywały. Ludzie wychodzili ze śpiewami i [nie można było dopuścić do sytuacji], żeby oni myśleli, że my tak sobieśmy krzyknęli [o strajku] i siedzimy, i gdzieś tam gramy w karty, i nas nic nie interesuje. Nie przypominam sobie gry na jakichś instrumentach, poza tymi śpiewami na wiecach przed biurowcem, przed halami, to nie było takich jakiś ułilających chwil.

Data i miejsce nagrania	2014-09-03, Świdnik
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"